TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE

Vol. 4 Nr. 22 (179) Nowy Jork, 2 czerwca — New York, N. Y., June 2, 1946 Cena 20 ct.



RUINY WARSZAWSKIEGO ZAMKU

Czyn Polonji

Kiedy cztery lata temu podniosły się pierwsze głosy, domagające się czynnego politycznego wystąpienia Polonji, szły pisemne protesty przeciw opuszczeniu Polski do Białego Domu, do Senatu i Kongresu podpisane przez Amerykanów polskiego pochodzenia — zarówno wśród samej Polonji jak wśród nowego uchodźtwa — liczni byli ci, którzy uważali te wystąpienia za wyraz szlachetnych uczuć, za głos oburzonego sumienia, niezbędne aby temu sumieniu ulżyć ale niezdolne cośkolwiek zmienić i na biegu wypadków zaważyć. Mówili jedni "Mamy rząd w Washingtonie, który lepiej niż my rozumie się na tych rzeczach i który nie dopuści do krzywdy Polski". Inni zaś: "Jest w Londynie rząd polski, który wie czego Polsce potrzeba, jak jej trzeba bronić, pocóż mamy się do tego mieszać i być ową przysłowiową żabą, podstawiającą swoją nóżkę, kiedy kują konie". Kiedy dzisiaj robimy rachunek tego co zaszło, od dni, kiedy podnosiły się te głosy, kiedy Polonja wchodziła w polityczną robotę — stwierdzamy, że rząd w Waszyngtonie przystał na rozbiór i zamaskowaną niewolę Polski, rząd w Londynie ma usta zamknięte i zamknięte wszystkie drogi realnego działania, obrona Polski, głos jej, głos wolności polskiej, domagającej się wolności wszystkich ludów — jest to dzisiaj tylko wojsko polskie, któremu grozi rozwiązanie i Polonja amerykańska, zjednoczona w swym Kongresie, którego ani rozwiązać, ani zastraszyć, ani zmusić do milczenia nie można.

Doprawdy, że dumą słuszną, wzywającą do nowych wysiłków mają prawo napełnić się serca tych, którzy wielkie dzieło Kongresu zaczęli i przez wszystkie przeszkody wielkie i małe przeprowadzili i prowadzą, doprawdy że kartę nie do wydarcia z historji polskiej i z historji wolnych ludów mieć będą inicjatorzy i przodownicy tego dzieła, nietylko zbawczego dla Polski ale i dla Ameryki, już dziś będącego przykładem dla innych, jak my Polacy miłujących wolności. Kongres Polonji jest dzisiaj głosem Polski a więc jak zawsze było w historji — głosem zarazem uciemiężonej i zagrożonej wolności całego świata; inaczej, bez mistycznych wzlotów ale ze znacznie większą możnością wpływania na polityke — czyni on to samo co kiedyś czyniła Wielka Emigracja polistopadowa. Jest ostrzeżeniem, głosem na trwogę ale przedewszystkiem jest potężną cześcią największej na świecie demokracji, cześcią, której jednomyślność wielokroć wzmaga jej liczebne siły pozwalając wpływać na to, co robi Biały Dom, Senat i Kongres. Dwulecie istnienia Kongresu—święci dzisiaj Polonja przez dwie potężne manifestacje, symbolizujące znakomicie zarówno jej ideały jak jej siłę: Generał Bór-Komorowski, Wódz Naczelny Armji Polskiej i bohater Warszawy — odbywa tryumfalny pochód po Ameryce jako gość Kongresu i jednocześnie ze wszystkich domów polskich, wszystkich osiedli, parafji i stowarzyszeń płyną ofiary na miljonowy fundusz Kongresu, który pozwoli mu jego pracę wpełni rozwinąć i wykonać. W tym przypadkowym zbiegu tych dwu napozór jakże różnego rodzaju zdarzeń—jest coś szczególnie krzepiącego, coś z owego "idealistycznego realizmu", który łączy polski polot z amerykańskim zmysłem rzeczywistości. Polonja, podejmując po królewsku Generała Bora stwierdza, że wolność i sprawiedliwość — są dla niej jak dla polskich żołnierzy, jak dla walczącego narodu polskiego, jak dla bohaterów amerykańskich — najwyższem dobrem, o które Polonja nie przestanie nigdy walczyć; fundusz miljonowy— to dowód, że ta walka prowadzona będzie naprawdę realnie, z zimną świadomością dróg wiodących do zwycięstwa. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że jak dotąd czynione było wszystko — wszystko też będzie czynione i nadal ze strony wrogów Polski i wrogów wolności — aby pracę Kongresu jeśli nie zahamować to wypaczyć. Nikomu rozsądnemu nie może dziś przyjść do głowy — aby Polonja odstąpiła sprawę polską, niejeden przecież liczy na polski sentymentalizm, polską łatwowierność, na to, że Polacy lubią popłakać się i pokrzyczeć—a skoro im na to pozwolić — niezawsze dopilnują tego, o co im naprawdę chodzi.

Napewno też są czynniki, które liczą, że wzruszenie i entuzjazm, wzbudzone przez wizytę generała Bora zaspokoją na długo serca Polonji, że niejednego skwitują w jego mniemaniu z obowiązków, które Polonia wzięła na siebie, powołując do życia swój Kongres, że słowem wszystko skończy się jak nieraz u Polaków na szumnych mowach i przyjęciach. Jesteśmy pewni, że Polonja, że Kongres Polonji dadzą rychło na te złudne nadzieje właściwą odpowiedź. Świetne mowy wypowiedziane w Chicago, w Detroit i w Nowym Jorku na powitanie generała Bora — przez przywódców Kongresu, przez prezesa Rozmarka, który wizytę generała zainicjował i doprowadził do skutku, przez pp. Nurkiewicza, Januszewskiego i Wazetera — świadczą wymownie, że Kongres myśli naprawdę politycznie, że uważa on wizytę generała Bora nie za święto ale za czyn polityczny, za wezwanie do dalszego wysiłku. Pieniądz na fundusz miljonowy — płynie tak szeroko, tak ludzie i organizacje prześcigają się w ofiarności, tak ta akcja jest żywiołowa i pełna entuzjazmu — że nie ustając w ofiarności, pilnując aby każdy dosłownie dał najwięcej ile może — mówić już dziś możemy o sukcesie, o zdaniu przez Polonję owego egzaminu siły i jedności, na który sama się wystawiła.

Fundusz miljonowy — będzie w rękach Kongresu Polonji potężną bronią w walce o wolność ludów, o wolność Ameryki, o wolność w Ameryce. Jak na każdej wojnie — tak i w tej walce są święta i są niezbędne parady, mające podnosić ducha, jednoczyć serca, zacieśniać szeregi. Ale jak celem wielkich rewji wojskowych jest dodanie żołnierzom sił do walki — tak samo piękne, wzruszające, imponujące, świetnie wszędzie udane obchody na cześć generała Bora — miały cel jeden: dalszą walkę, jeszcze większy wysiłek, jeszcze nowe kadry walczących. Polonja rzucając tak hojnie pieniądz na fundusz miljonowy — mówi czynem, że zrozumiała jak należy sens owej wzruszającej i jakże bardzo potrzebnej wizyty. Ci którzy liczyli, że Polacy, choć już amerykańscy obywatele, jak to zawsze Polacy pokrzyczą i pójdą do domu — zostaną napewno zawiedzeni. Polonja jest czujna, świadoma swych celów i swej siły. Ani na dawną ani na jakąkolwiek inną dziś już mało prawdopodobną Jałtę, jak dotąd nie przystała tak nigdy nie przystanie i potrafi przeciw niej walczyć.

90-letni Ludwik Solski napisał wiersz z okazji 70-lecia swej pracy scenicznej:

Przez pryzmat minionych lat
Zatapiam oczy w szafirowym
niebie —
I kornym czołem pytam gwiazd—
Czym w Sztuce odnalazł siebie?

*

Siedemdziesiąt lat przestrzeni —
Przeorałem w bujny łan...
Przeorałem w żyzne pole,
Tysiącami grałem role —
Byłem władny pan —
Byłem? jestem: byłem? będę —
Póki życia się nie zbędę!

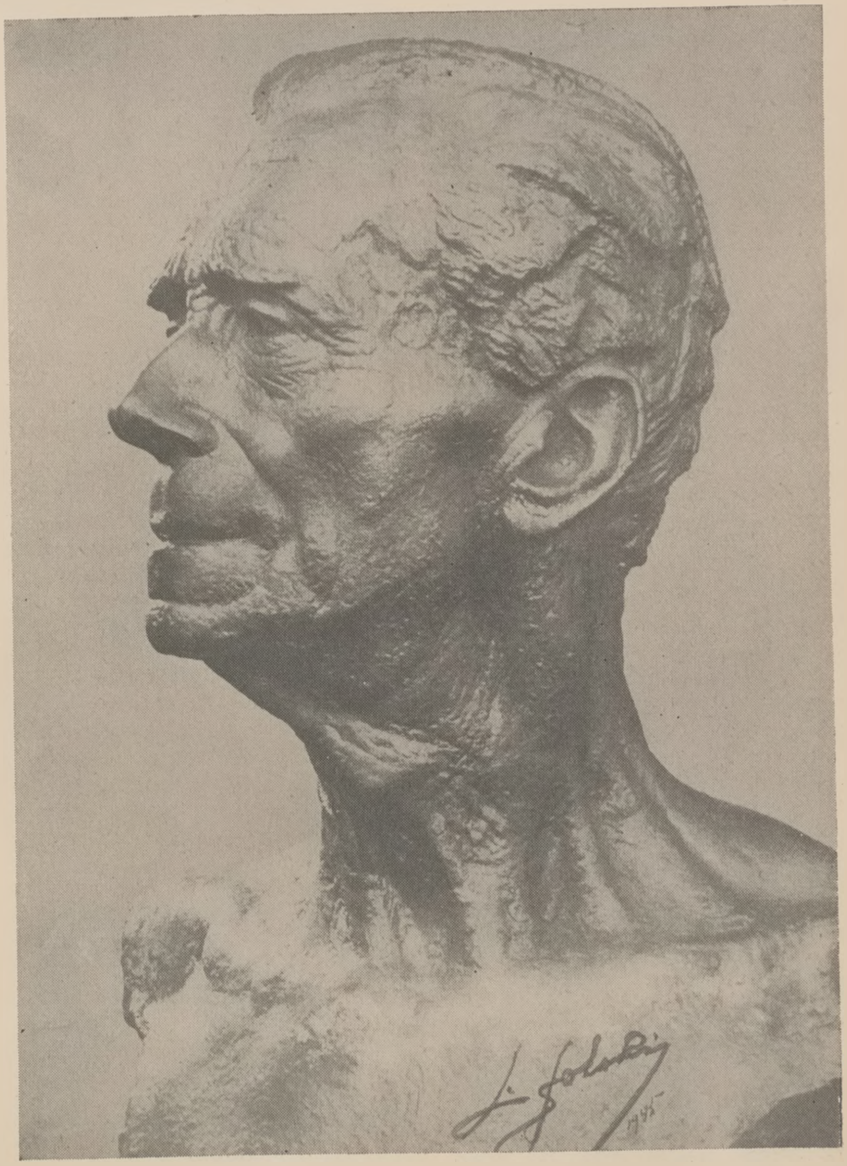
Rozwarły się znowu wrota —
Skoro we mnie wre ochota,
Aby palić znów ognisko
Na wygasłym popielisku!
Gdy ze sztuką pójdę w tan —
Będę znowu pan!
Na czas krótki — na minuty,
Zanim przyjdzie czas pokuty,
Nim się znajdę — tam...

*

Wówczas rzeknę przy kościele:
— Bądźcie zdrowi przyjaciele!

Kraków, 1. 1946.

Ludwik Solski.



LUDWIK SOLSKI — RZEŹBA ALFONSA KARNEGO

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

SIEDEM EMIGRACJI

Od sześciu lat Polska choruje na masową emigrację polityczną. Naród, jako całość i niezliczone w nim rodziny dręczą się pytaniem: kiedy wrócą nasi bliscy? czy wszyscy mogą i zechcą wrócić? czy ma sens siedzenie zagranicą setek tysięcy ludzi i to nie bylejakich ludzi, gdy w kraju nagromadziły się olbrzymie zadania, a do ich realizacji cisną się często ludzie—bylejacy. Toczy się nad tym dyskusja w prasie, w kraju trochę jednostronna, na obczyźnie, przypuszczać należy, wszechstronna. W "Tygodniku Powszechnym" wyrażono zdanie (H. Dembiński), że emigracja z kraju, nie mającego kolonji jest zawsze zjawiskiem społecznie i gospodarczo niepożądanym; wyjątkowo nasza emigrácja polistopadowa okazała się konieczną, patrjotyczną i częściowo użyteczną. W "Kuźnicy" użyto (W. Kula) mocnego terminu: bankructwo i poddano sekcji zasadniczy "nurt" epoki kościuszkowskiej, a potem otaksowano dziejową rolę emigracji po roku 1831. Aż tak daleko sięgnął publicysta, aby wykazać, że ani dzisiejsze nasze rozproszenie w pięciu częściach świata nie ma racji bytu, ani jej nie miała żadna z emigracji dawniejszych. Z pierwszym twierdzeniem, aktualnym, oczywiście, polemizować nie będziemy; drugie w swej apodyktycznej formie zasługuje na rozbiór, a nawet go prowokuje. Ażeby przeszłość rozumieć, trzeba ją przede wszystkiem znać; kto się w ten ciemny, "bezdrożny las" zapuszcza bez latarki, naraża się na guzy lub wybicie oka. Otóż wystarcza zwykła, kieszonkowa "Centra", aby rozróżnić wychodźtwo jednostkowe i masowe, wychodźtwo bezładne i zorganizowane, dobrowolne i przymusowe, wychodźtwo z własnego niepodległego państwa i z ziemi zakutej w niewolę. W długim szeregu tułaczy różnych czasów kroczą Dante i Kalwin, kniaź Kurbskij i Kotoszichin, Komeński i Rakoczy, Michał Pac i Kościuszko, Mazzini, Herzen, Bakunin, Lenin, Piłsudski... Czy to wszystko byli bankruci?

Zaświećmy latarkę historji. Emigracja zaczęła się zwykle jako uchodźtwo, lecz potrosze stawała się wychodźtwem. Uciekali ludzie z Ojczyzny na chwilę niebezpieczeństwa, lecz wnet przekonywali się, że wracać nie sposób, i wówczas dopiero dochodzili do świadomości, że stanowią bezterminową emigrację. Irlandczycy w końcu XVII wieku, uchodząc przed Wilhelmem Orańskim, wierzyli, że ich razem ze Stuartami wprowadzi tryumfalnie na Zieloną Wyspę Ludwik XIV; stało się inaczej, i emigracja irlandzka wsiąkła w rożne kraje. Francuskich rojalistów po roku 1792 miała prowadzić do Paryża Europa reakcyjna; stało się inaczej: popowracali ci, co usłuchali zachęt Napoleona. Tak samo, to znaczy różowo, wyobrażali sobie swe jutro ci Rosjanie, zarówno monarchiści, jak konstytucyjni republikanie, co zbiegli za granicę w r. 1918. Młoda Europa doczekała się częściowo w drugiej połowie XIX wieku odmłodzenia rodzimych środowisk i mogła w nich spocząć na starość. Najtragiczniejszy z narodów, żydowski, spędził na tułaczce blisko dwa tysiące lat, a miała ta jego emigracja tę odrębną cechę, że była powszechnym ruchem przymusowym, a nie aktem dobrowolnego odejścia od ciężkich warunków celem szukania lżejszego życia: wychodźtwo żydowskie rekrutowało się pierwotnie z wygnańców.

Gdybyśmy się przyjrzeli z bliska powyższym ruchom, to w każdym z nich wpadłyby nam w oko przyczyny, cel lub sens emigracji, jej rozmiar i organizacja, stosunek do kraju ojczystego i do istniejącego tam rządu, wzajemny stosunek z narodami dającymi gościnę, no i skutki wynikające z wychodźtwa dla doktniętej nim narodowości, które to skutki nie trudno ująć w bilans aktywów i passywów.

Polska pokazuje światu swych politycznych tułaczy od paru wieków, i nawet jej wskrzeszenie w r. 1918 jako drugorzędnego mocarstwa nie przecięło raz na zawsze smutnej kolei losów. Zna dobrze świat polskiego tułacza, co szukał szczęścia u obcych, bo go nie było w ojczyźnie, zna emigranta, co się przesiedlał na długo, niekiedy nawet naturalizował, bo ścierpieć nie mógł niewoli; zna pielgrzyma, co spełnił misję pracy narodowej w dążeniu do idealnej wolnej ojczyzny. Rzecz przytem zastanawiająca: nie wysiedlano się pod uciskiem germańskim ani tureckim (nie mówimy tu o sporadycznych wyjątkach ani i wyjątkowych wypadkach ostatniego trzydziestolecia), lecz wszystkie emigracje polityczne uciekły przed carską Rosją.

1. W latach 1709—1714 kilkuset schroniło się w Benderze i Stambule ze strachu przed Augustem II-gim i Piotrem Wielkim. Liczyli na Karola XII-go, na Turków i Tatarów, że im oczyszczą drogę do Polski. Spakowali swe manatki, gdy z grona ich ubyli ci, co ich mieli łączyć i wyzwolić — Stanisław i Karol. Uchodźtwo to krótkoterminowe, bez przemyślanego programu, mocno podszyte prywatą, bardzo było dla kraju niebezpieczne, bo dawało okazję do prusko-tureckich planów okrojenia Rzplitej. Mówiąc słowami najlepszego, w tych czasach znawcy (J. Feldmana), prócz tej kardynalnej przywary (oportunizmu wobec przemocy) wykazuje emigracja benderska moc rysów ujemnych: wybujałą emulację, intryganctwo, pieniactwo; jednych nędza emigrancka popchnie do czynów niskich, wręcz zbójeckich, inni splamią się zbrodnią najcięższą, bo przeciw całości ojczyzny. Wszystko to odsłaniano pochopnie przed zgorszonem obliczem cudzoziemców, odwołując się do nich jako do protektorów i arbitrów.

2. W porównaniu z emigracją benderską znacznie poważniej przedstawia się następna, królewiecka (1734—36). Tworzyło ją pół tysiąca czy tysiąc konfederatów dzikowskich, którzy bądź przytulili się z wygnanym Leszczyńskim do dworu pruskiego, bądź przybyli tam później po nieszczęśliwym obrocie walki z Augustem III. Uchodźcy ci, senatorowie i działacze prowincjonalni, reprezentowali niezaprzeczalnie majestat Rzplitej, obstając przy najlegalniej obranym królu przeciw uzurpatorowi. Pierwsi wznieśli oni sztandar niepodległości państwa i spodziewali się, że mu z pomocą Francji, Szwecji, Turcji, ba,

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879".

nawet Prus, nie dadzą upaść. O emigracji na czas dłuższy nie myśleli, i kiedy Francja zawiodła, odjechali z powrotem do kraju — jedni, aby pożytecznie pracować, inni, aby wichrzyć, jeszcze inni, aby odpocząć i użyć życia. Na emigranta wykierował się w tym gronie sam jeden Leszczyński, który też odegrał rolę prokursora późniejszych intelektualnych wodzów emigracji: wszedł w stosunki z elitą umysłową Francji i z niej zaczerpnął natchnienia do postępowych myśli o Polsce.

3. Trzecie pokolenie uchodźców poniosło ze sobą zagranicę moralny autorytet niepodległego rządu powstańczego. To była śmietanka Generalności Barskiej (1772—76) skoncentrowana w ścisłym komitecie, ale popierana przez różne ogniska w Paryżu, Wenecji, Turcji, Niemczech, Szwajcarji, Avignonie. Uznanoby, choć ze wstrętem, słaby, fikcyjny rząd Poniatowskiego, ale niepodobna było uznać rozbioru Rzplitej, ani też bezecnej uzurpacji różnych Ponińskich na czele Sejmu Delegacyjnego w Warszawie. Trzy czwarte Polski uznawało jeszcze niedawno władzę tych ludzi, ich głosem był Reytan, protestujący przeciw rozbiorowi. Ufna w ostateczny tryumf dobrej sprawy, Generalność prowadziła na obczyźnie dyplomację i myślała o dalszej wojence. Świat się tymczasem zmieniał — nie na nasze dobro. Jedyna korzystna zmiana na arenie międzynarodowej polegała na tem, że Katarzyna II sprzeciwiała się dalszym zaborom pruskim i austrjackim, i odtąd jedyna realna polityka kazała wyzyskiwać ten antagonizm wśród mocarstw, a więc współdziałać z Rosją. Tak rozumiał swe zadanie Stanisław August, i wobec takiej rzeczywistości emigracja barska likwidowała się niepostrzeżenie. Marszałek Pac zostawił testament nieprzejednanej, nieprzedawnionej reklamacji przeciw rozbiorowi; Michał Wielhorski podtrzymał tradycję szukania postępowych wskazań u mędrców Zachodu; Pułaski pokazał, jak się umiera za cudzą wolność.

4. Czwartą emigrację reprezentują w dziejach twórcy Trzeciego Maja, insurgenci kościuszkowscy — niebawem legjoniści. Oni również, jak Barzanie, mogli się mienić moralnym rządem narodu: mieli w swem gronie czołowych przedstawicieli Wielkiego Sejmu, dali narodowi Naczelnika, potem upoważnili paryską Deputację do przemawiania w imieniu Polski i próbowali zwołać do Medjolanu ten sam Wielki Sejm. W naszych oczach próbowano ich zdyskredytować za wszelką cenę, nawet za cenę logiki. Lewicowy oskarżyciel zabawił się w rozszczepianie ich na prawicę, centrum i lewicę, dopatrywał się arystokracji akurat w centrum, lewicy przypisał ideę ludowo-powstańczą, w przeciwieństwie do idei legjonowej. Niestety, z całej tej segregacji ostały się fakty dla autora bezwartościowe: że lewicę skompromitowali krzykacz Turski i skończony warchoł, a później przeniewierca Ksawery Dąbrowski; że z prawicy wyszła Pieśń Legjonów; że mimo wszystkich rozłamów prawica dopuściła lewicę do przewagi w Deputacji, a po jej zgraniu się sama tam osiągnęła przewagę moralną; wreszcie, co najważniejsza, że emigranci kościuszkowscy stworzyli zaraz po rozbiorze pierwszą siłę zbrojną pod hasłem: Jeszcze Polska nie zginęła. Dopóki w zaborach rządzili tępiciele polskości, póki obowiązywał traktat 1797 roku, wykreślający imię Polaków, póty emigracja majowo-legjonowa miała po swojej stronie bezwzględną słuszność. Moment rewizji nastał, gdy Francja wysłała legjonistów na San Domingo, a w Rosji Aleksander I ujawnił chęć odbudowania dawnej Rzplitej. Przeczekano te niepewne zapowiedzi, utrzymano zawiązki siły zbrojnej, i po kilku latach emigracja mogła się pocieszyć utworzeniem Księstwa Warszawskiego, bez którego nie powstałoby na kongresie Wiedeńskim Królestwo. Emigracja Legjonowa, mówiąc utartym zwrotem alegorycznym, odwaliła wieko trumny i nie pozwoliła go napowrót zatrzasnąć. Można, zapewne, postawić pytanie, czy te walki były potrzebne, jeżeli Aleksander I pod wpływem Czartoryskiego i tak zamierzał odbudować Polskę. Otóż, właśnie, że niebardzo zamierzał i nie tylko z Czartoryskim się liczył; cesarz niewątpliwie był na tyle szlachetny, że się nie mścił na Polakach za uczestnictwo w "owym roku" 1812; w każdym razie dozgonna wierność ks. Józefa Napoleonowi zaważyła dodatnio na losach polskich podczas kongresu wiedeńskiego a nieobecność na tymże kongresie Kościuszki mówiła światu, że Polska nie rezygnuje ze swych ideałów narodowych i demokratycznych. Co się zaś tyczy owej prawicy, lewicy, centrum, to z przykładaniem takich niby społecznych szablonów do zespołów historycznych należałoby postępować ostrożnie: jak wyglądałaby Polska w dobie pierwszego rozbioru, gdybyśmy konfederatów barskich nazwali prawicą, króla umieścili w centrum, a na lewicy — chyba Ponińskiego?

Przejdźmy jednak do grupy piątej.

5. Synowie legjonistów maszerowali w r. 1831 przez Niemcy do Francji, Belgji, Szwajcarji, znaleźli też schron w Anglji, Portugalji, Turcji; wielu doczekało się lżejszej aury pod zaborami pruskim i austrjackim. Wyszli z kraju, bo ich przywódcom groziła zemsta Mikołaja I, a żołnierzom honor nie pozwalał na złożenie broni. Trwali na obczyźnie, klepiąc biedę, naprzekór wszelkim dozorom policyjnym, bo wierzyli w bliską wiosnę narodów. Oni także wyprowadzili za granicę legalny sejm — sejm detronizatorów. Rozszczepili się na prawicę i lewicę, co wówczas było w całej Europie rzeczą normalną. Nie obeszło się, jak zwykle po klęsce, bez "potępieńczych swarów", które wzniosły się aż do niebiańskiej strefy Słowackiego i Krasińskiego, ale nie były one bezpośrednim skutkiem samego faktu emigracji. Wychodźtwo było i tym razem konieczne, a nawet bez kwestji pożyteczne. Ono z odległości jednoczyło zabory, ono dało pole działania ludziom, którzy pod Paskiewiczem musieliby się upodlić lub milczeć. Że ci biedacy karmili się złudzeniami i nieraz frazesami ,że grzeszyli lekkomyślnością, zwłaszcza ci czerwoni, to rzecz oddawna uznana, i o to nie będziemy się spierali. Napewno wielu porobiłoby karjery, zostając w kraju pod opiekuńczą władzą Paskiewicza, Metternicha, Flottwella; możeby dostali przydziały z pokonfiskowanych majątków Czartoryskich i Zamoyskich, znalazłyby się dla niektórych posady strażników na Spielbergu i w Cytadeli . . . Mickiewicz zamiast "Pana Tadeusza" stworzyłby może "Spekulanta", Chopin zamiast "Poloneza rycerskiego" — "Kalinę", Lelewel zamiast epokowej Geografii czy Numizmatyki — zapewne opis kraju Tunguzów. Tylko jak dotąd, nikt nie dowiódł, jakie to dobrodziejstwa ominęły wówczas całą Polskę, gdyby nie zaślepiona emigracja. Przeciwnie — pisze najlepszy przedmiotu znawca (A. Lewak) — przez życie naogół czyste, przez zalety swe, odwagę, rycerskość, humor, a równocześnie melancholję i tęsknotę za ojczyzną zyskują sobie emigranci popularność. Przez żywy udział w życiu publicznym Zachodu, uczestnictwo we wszelkich ruchach ludowych, przez czynne a nieraz bohaterskie ratowanie mieszkańców w czasie klęsk żywiołowych, zbliżają się bardzo do tych, wśród których żyli. Podnoszeniem ciągłym sprawy polskiej w parlamentach Francji i Anglji, w pismach i przez agitację ustną bezpośrednią, wpływają emigranci polscy na wytworzenie

się i uznanie jako jednej z głównych wartości historycznych XIX wieku, pierwiastka narodowego. Narodowość w dużej części dzięki emigrantom polskim stanie się naczelnem hasłem 1848 roku. — Wiosna narodów nie powołała do życia nowej emigracji, a ówczesne załamanie odrodzeńczych wzlotów Polski i Europy nie było bezpowrotne. Prawicowe i lewicowe agencje działały dalej osobno, ale tę skniły razem i życie potrosze przyznawało rację tym, co głosili na całym świecie wyzwolenie i zjednoczenie narodów. Polska wprawdzie przywalona była najciężej, ale po roku 1848, bądź co bądź, życie wciąż jeszcze było znośne w Poznańskiem, a po Magencie lżej się zrobiło w Galicji, a po wojnie Krymskiej mogło się zdawać, że i zabór rosyjski straci okazję do wychodźtwa politycznego. Z rokiem 1861, od zgonu A. Czartoryskiego i Lelewela, wielka emigracja wypuszcza z rąk cugle sprawy narodowej: koła rozpędowe rozruszały się w kraju, i kiedy dochodziło do powstania, zarówno wychodźcy biali, jak czerwoni uznali, że są tylko organami rządu narodowego, czynnego w Królestwie Polskiem. Jeżeli ten organ miał być przede wszystkim okiem, patrzącem w sprawy europejskie, to trudno nie przyznać, że wzrok zawiódł. Ani gabinety, ani ludy nie dobyły oręża w obronie naszej wolności i niepodległości, a tymczasem program organicznej pracy Wielopolskiego poszedł na marne. Ale nie owe oko ponosi odpowiedzialność za niewczesny poryw: skoro ks. Adam przed śmiercią powierzył dalszy ciąg swej pracy Andrzejowi Zamoyskiemu, ponieważ dziś kraj sam ujął ster swego postępowania, to tylko nieprzytomna zawziętość może w tem widzieć dowód "bankructwa": przeciwnie to był głos rozumu i sumienia narodowego.

6. O emigracji postycyzniowej można mówić jedynie z zastrzeżeniami. Przyczyn coprawda nie brakło. Berg, Murawjew i towarzysze umieli zrobić życie pod Aleksandrem II nieznośnem. Ale tym razem żadna grupa powstańcza nie powędrowała za kordon jako całość. Jednostki przyrastały do gotowych formacji polistopadowych. Jeż czy Plater w Szwajcarji, Dąbrowski Jarosław czy Wróblewski we Francji, Oksza-Orzechowski czy Plater w Turcji, Bukowski w Szwecji, to byli żołnierze czy raczej weterani bez dowództwa, nawet bez macierzystych oddziałów, choć nie bez sztandarów: ogółem liczono ich jeszcze w rozproszeniu 7000 (liczba dość duża), a jakość i wydajność tych tysięcy — drugorzędna. Że nie doszło w tem pokoleniu do nowej koordynacji wychodźtwa, to się tłumaczy stanem Europy Zachodniej i Środkowej. Po roku 1870 zgasło słońce Francji, nie zostawiając naszym tułaczom ani promyka nadziei; zato w Austrji i Niemczech zaczęło się życie konstytucyjne, i można już było emigrować z Kongresówki do Galicji lub do "Księstwa" między swoich, z perspektywą współpracy na polskim gruncie. Tak potrosze zawierały się kontury emigracji dalekobieżnej, zadzierzgiwały się węzły solidarności między pokoleniem Asnyka, Dubieckiego, Dybowskiego a tymi działaczami, którzy kooperację wychodźtwa z krajem oprą na innych, racjonalniejszych fundamentach.

7. Pod koniec XIX wieku i w początkach XX nikt już nie wyobrażał sobie, żeby emigracja, jako zorganizowany zastęp, wniosła do kraju wolność na bagnetach, na czele własnych czy też sprzymierzonych wojsk. Chociaż nie było narodowego rządu nad Wisłą, żaden rodzaj epigonów nie przyswajał sobie praw działania w imieniu Polski. Pracowano jednak dla Polski w różny sposób. Co było niewykonalne w kraju, to się robiło zagranicą. Już nie było się czego uczyć od demokratycznych polityków zachodnich, ani czego większego spodziewać: szablony się wytarły, życie spowszechniało, frazesy spłowiały. Do myślenia o polskich sprawach trzeba było powołać w kraju głowy polskie. Wyłaniają się tedy z przygaszonych domowych ognisk iskry, które, rozdęte w płomień za kordonem, podtrzymują niegasnące znicze w zaborach. Na obczyźnie, z emigracyjnego podłoża, rodzi się Liga Polska (1886), której zadania realizować będzie od roku 1895 w kraju Liga Narodowa. Na obczyźnie, w Paryżu zawiązuje się w r. 1892 Polska Partja Socjalistyczna, która parokrotnie skorzysta z gościny dla swego Przedświtu — w Londynie. I jeszcze nieraz działacze obu kierunków będą się musieli zjeżdżać poza obrębem caratu i drugiej Rzeszy. Ale dawne skupienia pielgrzymstwa w Paryżu czy Rapperswilu nic już nie znaczą wobec krajowych poddaszy i podziemi.

Co się zmieniło? Czy zelżał system rządów w krajach Bulowa i Skałona? Naogół — nie. Czy ugłaskali kogoś grzeczni ugodowcy? W minimalnej mierze. Najważniejsza przemiana polegała na rozbudzeniu ducha obywatelskiego, a poniekąd i zmysłu politycznego w społeczeństwie i to w szerokich jego warstwach. Któż to otacza stolik redakcyjny Przedświtu na znanej fotografii? Szlachcic Piłsudski, szlachcic Jodko, szlachcic Mościcki, Miklaszewski, Jędrzejowski — wszystko inteligenci, pracujący wśród robotników. A kto się zjeżdża na konwentykle Ligi Narodowej? Drobna szlachta Popławski i Waligórski, syn rzemieślniczy Dmowski, syn robotniczy Korfanty, syn kmiecy Kasprowicz — inteligenci, pracujący dla ludu. Póki jedynem hasłem patriotycznem było: do lasu, póty jedyne wyjście z lasu prowadziło na tułaczkę. Póki masy były bierne, można było tak postępować, aby ludzi aktywnych wywozić, innych wystraszać za dziesiątą granicę, i l'ordre regnait a Varsovie. Ale społeczeństwo przemieszane, rozbudzone i częściowo przebudowane umie się bronić, umie się bronić skuteczniej niż dawne w epoce dziadów i pradziadów. Kiedy masy stają się aktywne i twórcze ,coraz to nowe zastępy zgłaszają się na miejsca wyeliminowanych, zarówno więc zsyłka, jak ucieczka zaczynają się mijać z celem. Emigracja masowa się kończy, zostają na obczyźnie pojedyńczy, niekiedy zorganizowani emigranci. W ten sposób na to, co nazwałem na wstępie chorobą emigracyjną, znalazły się w naszych doświadczeniach dwa lekarstwa: nietylko zmiana systemu rządzenia, ale zmieniony system samoobrony.

Czy mam koniecznie pomóc do wysnucia wniosków ogólnych? Nie lubię uogólnień zbyt prostych, prostackich. Kto mówi: żadna emigracja nie miała sensu, popełnia taki sam błąd, jak ten, co w czambuł potępia wszystkie powstania: przecież powstanie kościuszkowskie było niezbędne, powstanie wielkopolskie 1806 roku pożyteczne, tak samo jak wielkopolskie 1919 i śląskie 1921 roku. Podobnie rzecz się ma t. j. rozmaicie z emigracjami: pierwsza była zbyteczna, druga uzasadniona, ale na szczęście krótka, trzecia, barska, dobra jako gest; czwarta owocna i zaszczytna, piąta nieunikniona i twórcza, szósta dość jałowa, siódma sporadyczna, ograniczona do minimum, uwieńczyła się dużym sukcesem.

Skutki uboczne też były wieloznaczne. Materjalnie emigracja polityczna, w oparciu zwłaszcza o późniejszą zarobkową, współdziałając z nią i wpływając na jej patrjotyzm, przysłużyła się i jednostkom i ogółowi. Powstaniec i sybirak Wokulski, należy podejrzewać, wyjeżdżał na Bałkany jeszcze jako emigrant polityczny; za powrotem zmroził biednego Rzeckiego wiadomością, że "wojny nie będzie", ale zato przywiózł 250,000 ru-

bli, zarobionych na dostawach. Pod względem cywilizacyjnym kąpiel w wyższej kulturze, w środowiskach o wyższej skali obyczajności przydała się niejednemu — tysiącom. Sama tęsknota stawała się pożywką dla patrjotyzmu. Niejeden, coprawda, cywilizował się w osobliwy sposób, wstępując do obcych tajnych stowarzyszeń i nasiąkając ich mentalnością: wiadomo, że koryfeusze wszystkich kolejno naszych emigracji, od Leszczyńskiego do Narutowicza, przechodzili przez masońskie wtajemniczenia. Ale i to nie dla każdego było wykolejeniem: dość wspomnieć Zygmunta Balickiego i jego Zet, tak doskonale zakonspirowany, dla prowokatorów nieprzenikniony, a w skutkach tak owocny.

WRESZCIE, JAK WIDAĆ Z DZIEJÓW POLONJI AMERYKAŃSKIEJ, WIELKIE SKUPIENIA WYCHODŹTWA ZAROBKOWEGO WPROST POTRZEBUJĄ DOMIESZKI EMIGRACJI POLITYCZNEJ. ROZSIANI WŚRÓD NICH IDEOWCY, W OPARCIU O ŚRODKI MATERJALNE MASY, MOGLI I ZASILAĆ WOLNE PRZEDSIĘWZIĘCIA KULTURALNE POLAKÓW I W WAŻNYCH CHWILACH RZUCAĆ ICH GŁOS NA SZALĘ WYPADKÓW. PIELGRZYMSTWO BOWIEM, DZIŚ JAK I ZA DNI MICKIEWICZA, NIE POWINNO BYĆ ANI POKUTĄ, ANI EKSPATRJACJĄ, ANI WEGETACJA, ANI KARJERĄ, A TYLKO DALSZYM CIĄGIEM MISJI NARODOWEJ.

(Drukowane w "Tygodniku Warszawskim")

Dr Arnold Szyfman — dyr. Teatru Polskiego

Gwinona (L. Pancewiczowa)



Lelum i Polelum [Milecki i Wilamowski]

Juliusz Osterwa znakomity aktor i reżyser

"Lilla Weneda" w Teatrze Polskim w Warszawie

ZOFJA WAŃKOWICZOWA

"CIENZKI DZIEŃ"

Annie - Krystynie

Mała czteroletnia Marysia była pociechą naszego kobiecego życia. Zostawszy sama z córką na lata wojny, przygarnęłam dawną pokojową, której mąż znalazł się w niewoli po wrześniu. Marta zainstalowała się z córeczką Marysią, która zwolna w tym kobiecym zespole stała się główną osobą.

Dziecko przyszło nieco zabiedzone, bardzo sprytne, bardzo chytre na życie — mocne dziecko sfery, w której uczą od młodego dawać sobie radę. Patrzyło to z pod oka — dosyć łapczywe, nad wiek mądre, nad wiek samodzielne i zaradne.

Krysia, moja córka, objęła rządy domu po chlubnem ukończeniu kursów gotowania, uzyskaniu fachowego prawa jazdy i ukończeniu kilku podobnych fakultetów. Pod jej to zarządem prosperowała kapusta w ogródku działkowym, pęczniała śpiżarnia i skryty składzik na rzeczy na poddaszu, kędy zjeżdżały nietykane przez nikogo kiełbasy, gromadzone na tę chwilę, kiedy trzeba będzie "tylu ich żywić". Bo Warszawa, aczkolwiek była to wczesna wiosna 1944, już pęczniała powstaniem.

To też czteroletnia Marysia, grubaśna, utuczona jak kuropatwa pod jesień, nieodłącznie, jak piesek pałętała się za słodkim brzękiem Krystynowych kluczy.

— Panienko — słychać było przymilny głosik.

Krystyna srogim spojrzeniem ogarnęła fąfla, poddanego jej pedagogicznym wyczynom—jak gospodarskim okiem popatrzyła na przyplątanego psa Burka, jak przedtem na wsi doglądała swoją wierzchówkę, jak teraz patrzyła na dom, Martę, co tu gadać— na rodzoną matkę i cały, zwierzony jej pieczy inwentarz. Poczem ręka sięgała w jakiś opancerzony zakamarek i do rączek Marysi przelewała się garstka migdałów, otrzymanych od Taty przez Turcję.

Kiedy Krysi w domu nie było — Marysia wmaszerowywała do mego pokoju.

— Wsiąka to do pani jak woda, jak kurz — desperowała Marta.

Poprawdzie nie krzywdowałam sobie na to wsiąkanie. Tak lżej było czekać na nieobecną Krysię. Dosyć strasznych godzin nachodziło się do około stołu, nawybiegało się do ogródka, przed dom, do najbliższego skrzyżowania ulic.

Zasiadłyśmy do loteryjki, starej loteryjki zachowanej z Krysi dziecinnych czasów. Kiedy Marysia wykrzykiwała z tryumfem "Kota głowa", wyciągnąwszy odpowiedni obrazek — zdawało się przez chwilę, że czas stanął, że koła jego poszły wstecz.

Z czasem Marysia definitywnie przeniosła się do mego pokoju. Był to pokój centralny, służący domownikom wszelkiej sierści i różnorakiej ilości nóg. Foksik Fufcik, kontuzjowany przez auto i chory, przyniósł w zębach poduszkę z dolnego hallu, gdzie był zainstalowany na stale i osiedlił się przy moim łóżku. Pewnego razu obudziłam się, czując czyjś wzrok na sobie. Zobaczyłam na kołdrze cztery ślepe kocięta, a na dywaniku przy łóżku siamkę Malwinkę, która zniosła mi urodzony w nocy przychówek i wpatrywała się we mnie swemi turkusowemi ślepkami z uczuciem nieopisanej dumy macierzyńskiej.

No, więc teraz to dziecko, mocne jak "samosiejka" — polne zielę, poszło w ślady tamtych zwierzaków. Nie wiadomo jak — że to na dole w pokoju dla służby pojawiła się wilgoć czy z innego byłejakiego powodu — zainstalowało się tutaj jej łóżeczko.

Zima była ostra, skuliłyśmy się w moim pokoju, jadłyśmy w nim kolacje. Mała Marysia skakała po swoim łóżeczku, obrywała smaczne kąski, potem przewracała się nagle i już spała z rączkami na kołdrze, pęczniejąc ze snu.

Wówczas — wyjeżdżał na stół "Biuletyn", albo inny egzemplarz gazety konspiracyjnej, który jedna z nas odczytywała głośno. O wojsku polskim. O polskim rządzie. O bezceństwach niemieckich. O tym, że wyłapują po Polsce dzieci blond o typie nordyckim błękitnookie i jasnowłose i wywożą na wynarodowienie.

Sroga Krystyna żądała, żeby czteroletnia Marysia uczyła się samodzielności i samodzielnie wędrowała do pobliskiego przedszkola.

Pewnego razu na drugi dzień po takiem czytaniu, zobaczyłam, że mała ubrana przez matkę w kapturek, czegoś zwłóczy i mizdzy się przed lustrem.

— Co ty się tak przyglądasz?

Z pod czerwonego kapturka spojrzały oczy — bardzo niebieskie, aż granatowe, jakieś nie dziecinne w tej chwili.

— Pani — ja chowam locki, zeby oni nie widzieli, ze jasne.

Widać nie spała jeszcze w swojem łóżeczku wczoraj.

Jadąc na Żoliborz, widziała może dwuletnie dziecko na kolanach u matki, które za każdym razem, kiedy do tramwaju wchodził umundurowany Niemiec, poczynało się trząść i płakać. Naszego Burka musiałyśmy wiązać na małym cementowym, ślepym podwórku, bo się rzucał na każdego Niemca. Jakoż go zastrzelili. Podzielił los swego poprzednika aerdelterierra Gawła, którego zastrzelili bolszewicy.

Ciężkie lata, w których doroślały dzieci i uczłowieczniały się zwierzęta.

— —

Noc z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek 1944 r. pełna była zapachu napieczonych ciast świątecznych i przygotowanego mięsiwa, które przygotowali Żoliborzanie. Piąty rok wojny piątym rokiem wojny, ale wielkie starcie Wschodu z Zachodem nie mogło się odbywać bez pożywki dla stolicy leżącej na spięciu światów. Niemcy nazywali Warszawę najbogatszym miastem w tej wojnie i istotnie o pieniądze nie było trudno. To też Żoliborz położony dalej od południowej dzielnicy zarezerwowanej dla Niemców, obiecywał sobie spędzić święta dostatnio i spokojnie. A zwłaszcza dzień jutrzejszy, Wielki Piątek, o którym rzeczoznawcy orzekli, że jest to najważniejsze święto u szkopów. To też i ten i ów z mieszkańców pepesowskiej kooperatywy "Szklane Domy", od dawna już tułający się jako nielegalnik, zaryzykował na tę noc wrócić do domu. Zbyt silnie wabiło własne łóżko, blizcy, zbyt silnie pachniała przygotowana wielkanocna kiełbasa.

O piątej rano tego Wielkiego piątku biegł człowiek ulicą Tucholską i krzyczał w głos: "Łapanka!... Łapanka-a-a!..." Nim skręcił w Dziennikarską, poznałyśmy, że to pan Augustyniak, stolarz. Żoliborz żył swojem życiem małego miasteczka, w którym wszyscy się znali.

Głos pana Augustyniaka "Ł-a-p-a-n-k-a--a-a-a!..." niknął w ulicy Dziennikarskiej, a już po wszystkich domach naszego osiedla Literatów i Dziennikarzy błysnęły okna. Żoliborz pamiętał tę straszną obławę na ludzi, kiedy od wywleczonych z domów i ładowanych na lory mężczyzn odrywano za włosy czepiające się kobiety.

Po wszystkich mieszkaniach rozległ się charakterystyczny szum wody spuszczanej w ubikacjach. Żoliborz oczyszczał się pośpiesznie z grzechów posiadania nielegalnej literatury. Tę przynajmniej można było spalić, lub spławić... Okazało się potem, że były mieszkania, które nie mogły wszak spalić ani spławić broni, ani nie potrafiły jej skryć. I we wszystkich mieszkaniach zapewne nie potrafiono spławić okropnego, przerażającego strachu.

Krysia drabiną ze strychu wbiegła na płaski dach domu — zorjentować się, czy łapanka obejmie nasz dom specjalnie, czy dzielnicę. Zobaczyła Niemców kotłujących się już po podwórzu sąsiedniego zbiorowego domu. A więc nie specjalnie na nas... Osaczają całą dzielnicę. To było lepiej. Ale gorzej było, że już ją otoczyli ścisłym pierścieniem i z domeczku nigdzie nie było wyjścia. Chyba z nimi... Na lorę...

Łomot kolbami w furtę. U dębowej furty do ogrodu urwany był dzwonek. Przyczajałyśmy się i czasem natręci mijali mimo.

— Mamusiu, otwierajmy...

— Jeszcze chwilkę...

Przecież tyle domów do zrewidowania. Może wezmą dom za opuszczony... Może znudzą się i pójdą..

Łomot się powtarza.

Wychodzę na ścieżkę. Mam na sobie szlafrok jedwabny w wielkie niebieskie kwiaty, przywieziony z New Yorku przed samą wojną przez męża. Ma znamionować "pewność i zaufanie", ma łudzić burżuazyjną elegancją, bezbronną kobiecością, ach — bo ja wiem czem zresztą. Krysia w domu!

Przez wierzch muru, w który jest wpuszczona furta przedostaje się Niemiec ze szmajserem w ręku. Ręce mu się trzęsą na te niebieskie tulipany, bo wszak za tym murem mogła być zasadzka i strach rekompensuje się złością.

Zgrzytnął klucz i do ogrodu wpadło ich siedmiu. Sześciu żandarmów z oficerem i gestapowiec. Wniosło ich do hallu (a już widzę — Krystyna z góry schodzi w ciepłym płaszczyku, z torebką w ręku, która stale była przygotowana).

— Krysiu siądź przy dziecku — rzucam.

Niemcy są sentymentalni... Może widok przy łóżeczku Marysi ich zmiękczy (Czegoż tu czepiać się, jakiej nadziei, jakiego sposobu?...)

— To jest mój dom — mówię — trzy kobiety i dziecko.

Pięciu pobiegło na górę, gestapowiec z żandarmem wpadł do mego pokoju (w tę noc Marysia spała w przylegającym stołowym). Z niezwykłą wprawą wyszarpnął z pod warstwy bielizny listy przewiązane wstążeczką. Od drugiej córki, od Tili.

— Z zagranicy? — sypał po stole koperty, znaczone podłużnymi znaczkami lotniczymi US. (o jakże dawno przestały przychodzić, jak dawno zanikły ostatnie wiadomości—o nich...)

"Kochana Mamuśku!" — zaczerniały nagłówki. Odrzucił paczkę listów.

Niepostrzeżnie poszłam do tych na górę. Minęłam oficera z żandarmem na pierwszym piętrze, bo na drugim trwał jakiś srogi gwałt. Znalazłam tych trzech w schowku na prowianty i rzeczy, mocujących się ze skrzynią książek.

— A, więc tu żydowskie książki się chowa! — wywijał triumfalnie czerwonym tomem jeden z nich.

— Myli się pan, to japońska książka — poznałam japońskie tłomaczenie "Szpitala w Tichiniczach".

Żołdak oddzierający dalej wieko zabitej skrzyni skaleczył się. Widząc krew, pierwszym odruchem powiedziałam:

— Ojej — pan się zranił, może się pan zakazić; tam jest woda — wskazałam na łazienkę — niech pan umyje rękę. I w tejże chwili słumiłam instynktowny długoletni nawyk — żeby zaraz pójść do apteczki i pożałowałam powiedzianych słów. Przecież to Niemcy...

Posłyszeli i podnieśli do mnie z klęczek głowy z wyrazem tępego zdumienia. Słowa w świecie nienawiści padły i natychmiast zwiędły. Zobaczyli — szafy spiżarniane. Poczęli wstrząsać owe Krystynowe kiełbasy. Pomyślałam z ulgą, że to mniej niebezpieczne zajęcie i podążyłam na dół.

Z pierwszego piętra wynieśli się dawni, mieli wprowadzić się nowi lokatorzy i meble stały spiętrzone pośrodku pokojów przy generalnych porządkach. Młody oficer stał w dawnym gabinecie męża oparty o ramę okna i bębnił po szubie. Nastawiony był romantycznie na wykrywanie składów broni, na strzelanie z za płota i z za murów. Ten dom pusty samotny, za potężnym murem o czterech poziomach (kuchnia, pralnia, śpiżarnia, warzywnia, kotłownia itd. znajdowały się w suterynie), wielopokojowy, w którym mieszkańców maskowały trzy kobiety i dziecko... Te meble pozostawione barykady... (Żandarm cały czas trzymał szmajser na "gotuj broń").

— Gdzie mężczyźni? — rzuca szorstko.

—Same jesteśmy.

— Same? (Jest nieco bezradny wobec tych wielkich błękitnych maków, pokojowego szlafroka i spokojnego głosu; wybrał się po laury, a tu nie wiadomo jak się wychodzi z tego... A może istotnie tu w siedmiu ludzi wojuje z trzema kobietami, podczas, kiedy czas ucieka, kiedy obława czeka).

— Zobaczymy — rzuca groźnie — na dół!

Na dole już się odprężyło. (Tylko łapacz-gestapowiec rzuca się jeszcze bezładnie po bibliotece, skacząc do najwyższych półek). Jeden żandarm bawi się ciąganiem windy idącej z kuchni przez kredens na górę piętra. "Kultur..." — cmoka. Inny, już starszawy, pstryka palcami do Marysi. Marysia (różowa koszulka, wielkie szafirowe oczy, burza jasnych włosów naokoło różowej buzi), uśmiecha się do niego. Niemiec od windy przyłącza się do zabawy. Marysia kolejno zwraca twarzyczkę na każde trzaśnięcie to jednego to drugiego Niemca i wykrzywia ją w uśmiechu. Oni to biorą za dobrą monetę, ale ja dziecko znam — mała Marysia gra.

Wrzask z hallu — łapacz ręką wzywa Krystynę, każe podać dowód osobisty. Na szczęście wrzask jest o skarpetki, które znalazł w hallu w skrzyni. Skarpetki są pochodzenia niemieckiego i będą skonfiskowane. Pod gardło podchodzi fala ulgi.

Oficer wpada do mégo sypialnego. Na sekreterze fotografje braci w mundurach z roku 1919, w charakterystycznych dla tamtego czasu kożuszkach, za ramką zatknięte krzyże Virtuti obydwóch.

Ach, więc jednak ten trusiowaty tajemniczy dom ma swoje tajemnice, które nie darmo węszył.

— *Doch! Hier sind polnische Offiziere!*

— To moi bracia.

— Gdzie są? — ogląda się, jakby już mieli wyleźć z jakiegoś kąta.

— *Die beide sind gestorben im Jahre 1919* — rąbię po niemiecku.

— *Im Kampfe gegen uns?*

— *Nein. Im Kampfe gegen Bolshewisten.*

Zwątpienia prysły. Wypada do hallu:

— *Raus!* — krzyczy, aż drżą wszystkie piętra. Trzej knechty niezdarnie zbiegają z trzeciego piętra, dudniąc po schodach butami.

— *Raus!* — krzyczy do łapacza o latających oczach, który ociąga się czegoś.

Wywalili się za furtę, już ich nie ma. Krysia mówi spokojnym głosem:

— "Marto, proszę dawać śniadanie". Ja bez słowa zabieram się do porządkowania po rewizji.

Kiedy wchodzę do pokoju, w którym stoi łóżeczko trzcinowe małej Marysi, dziecko podnosi do mnie nagle postarzałą twarzyczkę:

— Pani! Ale cienzki dzień dzisiaj pszeżyliśmy...

JERZY NIEMOJOWSKI

WYSZYWANE ORŁAMI

DRAMAT

(Ciąg dalszy)

WOJTEK
Walić!
STASZEK
Z em-pi
WOJTEK
Cicho!
ROMAN
To rozkaz mój!
WOJTEK
We łbie się mąci!
ROMAN
Nie jest dość prosty?
LEON (wybucha)
Bierz go licho!
ROMAN
Blanka — niech grają — wszystko jedno!
BLANKA (mówi przez drzwi)
Proszę o tango —
KRYSIA (z drwiną w głosie)
...z Argentyny!
BLANKA
Karty!
ZOSKA
Trafiłeś chłopcze w sedno.
ROMAN
Karciarnia losu?
ZOSKA
Nie co inne.
ROMAN
Rozstawić stolik!
ALINA
Grają chłopcy.
ROMAN (do Staszka)
Siadaj!
STASZEK
Bóg świadkiem bez przekonań.
ROMAN
Tak chcę!
KRYSIA
Na Staszka twarzą obcą łysnął...
ROMAN
Ot, gadasz — siano — słoma.
BLANKA
To wszystko razem zrówna ziemia...
ZOSKA
Idź precz!
KRYSIA
Jedyna żeś —
ALINA
Bez winy!
BLANKA
Karty tak świetnie są zadane —
ROMAN
Już?
LEON
Licytować!
BLANKA
Czas jak piołun.
ROMAN
Trzy trefl.
WOJTEK
Trzy pik.
STASZEK
I trzy bez atu.
ZOSKA
Prawdziwy salon dla wariatów.
LEON
Pas.
ROMAN
Cztery kier.
WOJTEK
Pas.
STASZEK
Cztery piki.
ALINA
Głowa mi pęka z tej muzyki.
LEON
Pas.
ROMAN
Szlemik w kierach.
WOJTEK
Pas.
STASZEK
I w pikach.
ZOSKA
Niech bodaj skończą z tą muzyką!
LEON
Pas.
ROMAN
Szlem bez atu.
WOJTEK
Koniec.
ROMAN
Wyłóż.
ALINA
Słuchać i patrzeć — nie mam siły...
(Słychać uderzenia do drzwi i krzyki)
Auf diese Turen!
ROMAN
Są otwarte.
KRUGE i GUNTHER (wchodzą)
KRUGE
Kto tu jest Roman Białobrzeski?
ROMAN
Ja.
KRUGE
Pójdziesz z nami.
ROMAN
Ja?! — dlaczego?
Moi panowie — to są żarty!
GUNTHER
(przyskakuje do niego, aby mu dać w twarz — nie uderza go jednak)
Ja ci dam w pysk, ty draniu pieski!...

(Ciąg dalszy nastąpi)

WIECH

Na Półmisku

Zostałem się, proszę obywateli szanownych, trafunkowo za derektora hotelu i to w swojem właściwem mieszkaniu na Szmulkach.

A zaczęło się od tego, że przyjechała do nasz z Grójca spalona ciocia Wężykowa. Rzecz jasna, że trzeba było familiantkę przyjąć. To tyż puściłem ma się rozumieć ciocię do łóżka na swoje miejsce od ściany, a sam przeniesłem się na ziemię do szwagra Piekutoszczaka, któren także samo, jako spalony, mieszka u nas pod stołem. Po cioci Wężykowej nadleciał ze Skierniewic, czyli tyż innego Łowicza, kum Gieni, niejaki Szczurkowski z żoną, teściową i sześciorgiem dzieci.

No, to nie było inszej rady, tylko musieliśmy się ze szwagrem przenieść do szafy. Powodziło się tam nam nienajgorzej, bo Gienia trzymała w szafie gąsior leczniczego spirytusu. To się zawsze pociągnęło po setuchnie do poduszki. Bogiem a prawdą, spirytus był na mrówkach w charakterze lekarstwa na romatyz, ale przepisowe siły posiadał. Szwagier troszkie narzekał, że mrówki po ciemku łyka, ale światła bojeliśmy się zapalać, żeby Gieniuchna co i jak jest nie sporutowała.

No i żyło się "jak cie mogie". Ciasno się nam zrobiło dopiero wtenczas jak wrócił z Niemiec koleżka braciszka żony, Rączka Alojzy, z kozą.

Na razie zrobiliśmy propozycję, żeby koza mieszkała na podwórku koło śmietnika, ale ten ów Rączka obraził się o to, i zaznaczył, że ani na jedne minute się z nią rozstać nie może, bo to jest koza pamiątkowa, w Pruszkowie, w obozie z niem była.

Całe Niemcy zjeździli tam i nazad i teraz z pod Berlina zapychają. Znakiem tego nie może się zgodzić, żeby ją kto z podwórka przyuważył. A detalicznie stworzenie jest wesołe i w krótkiem czasie wszyscy go polubieją.

W taki sposób musieliśmy przyjąć kozę do towarzystwa. Wesoła ona, cholera, faktycznie była. Zaraz pierwszej nocy pół materaca z pod Gieni wydarła i ciocię Wężyk za wieczne ondulację chapła bo myślała, że to siano. Ale najgorsze było, że "drobne" miała.

Po trzech dniach wszyscy się drapali jak najęte. Święta szli, a tu się wykąpać nie było gdzie, bo szkopy wszystkie kąpiele sfajczyli.

Wtenczas szwagier zaznacza, że w domu nam rzemską łaźnię wyszykuje, tylko mu potrzebna balia i konewka. Konewkie pożyczyło się od dozorcego, ale balji nie było, bo Gienia wywiozła ją przed powstaniem do Warszawy z inszemi rzeczami, żeby było bezpieczniej. Z większych naczyń został się nam tylko półmisek. Obejrzał go szwagier i mówi, że ciutciut za ciasny, ale obleci, skoro jeżeli Gienia na nim galaretę z sześciu wieprzowych nóżek studziła.

W Wielki Czwartek nagotował szwagier wody, uwiązał konewkie na haku przy suficie, do dzióbka przyczepił sznurek, pod spodem półmisek ustawił i mówi, że rzemska łaźnia gotowa i żeby się klienci w ogonku ustawili, ale nikt nie chciał, obsztorcowali tylko szwagra na perłowo i wyszli z domu.

Ja sam jeden się zostałem i myślę sobie, spróbuję tego wynalazku, bo faktycznie czystość to zdrowie. Rozebrałem się ma się rozumieć do rosołu, wlazłem na półmisek, ale się gibam — w nogi mi ciasno, bo co wieprzowe to nie moje, odpowiedzialne, trzydziesty drugi numer. Ale nic, wręcza mi szwagier mydło i mówi:

— Szoruj Walerek łeb, jak namydlisz fest, powiedz mnie, ot za sznurek pociągnę, woda poleci, mydło się spłucze i tak po kawałku cały się umyjesz jak lalka.

— A no dobra, mydlę, mydlę i widzę, że będzie dosyć, bo cały się w pianie znajduję i znakiem tego mówię:

— Feluś, ciąg za sznurek!

Czekam, a ta woda nie leci, krzyczę raz i drugi i nic. Obcieram oczy oglądam się — niema szwagra.

— Feluś do wielki Anielki, gdzieś się podział!

A szwagier z sieni odpowiada, żebym poczekał troszkie, bo jest zajęty.

Komitet domowy przyszedł sprawdzić, czy my za dużo luzu nie mamy w mieszkaniu i on musi wszystkich lokatorów wymienić po nazwisku.

Ja tu stoję na półmisku, nogi mi się trzęsą, dreszczy dowstałem, a on się z Komitetem przekomarza. Czekam jeszcze troszkie, ale już dłużej nie mogie, bo na dobitek mydło zaczęło mie w oczy szczypać, to tyż wołam:

— Wpuść komitet do mieszkania!

— Nie mogie bo damski — prezesowa i cztery sekretarki... I dawaj dalej wyszczególniać.

A tu jak mi nie rąbną mydliny w jedno oko, jak nie poprawią w drugie, wszystkie gwiazdy mi się pokazali, wyszłem z nerw i krzykłem:

— O rany jak mnie mydło gryzie, ratonku!

Zlitował się szwagier, wleciał do pokoju, pociągnął za sznurek i... myślałem, że skonam jak mi wody na łeb nalał. Ukrop to był ze 120 stopni w cieniu, zleciałem ma się rozumieć z półmiska na podłogie. Podrywam się i chodu z pod konewki, ale wskoczyłem na kawał mydła i jadę na niem jak na łyżwie. Wybiłem głową filong i wpadłem między komitet. Prezesowa zemdlana, reszta komitetu gazu przed siebie, na dobitek koza wyskoczyła ze strachu przez okno i wpadła na milicjanta, któren zestawił dwa protokuły, o zabradziażenie spokoju publicznego i o obrazę niemoralności.

Ale za to jestem czyściutki, jak nowonarodzony pętak. Przy święconym jajeczku wszystkie moje lokatorzy tak się drapali, że życzeń religijnych nie można było składać, bo co i raz żółtko komuś z widelca spadało. A ja nic.

Każden mnie zazdrościł i same teraz względem tego tygodnia czystości mają konewkie od dozorcego pożyczyć, tylko, że Gienia będzie stała przy sznurku, bo szwagier jest raptus i znowu może zapomnieć zimnej wody do ukropu dolać.

W OSTATNIM 21 (178) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Generał Bór-Komorowski w Nowym Jorku,; General Bor-Komorowski in New York; General Bor-Komorowski in the Warsaw rising; Dorothy Thompson: statement; Constantin Fotich: statement; Alfred Gilmanis: statement; Kaarel Pusta; statement; Jan Ciechanowski: statement; Józef Czapski: Warsaw rising and world conscience; Francis J. Wazeter: statement; Ignacy Nurkiewicz: statement; Sylvin Strakacz: statement; Tydzień polityczny; Kronika polsko-amerykańska.

LUDWIK BERGER

NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE TOCZY SIĘ WOJNA O NAFTĘ

Złoża naftowe na Środkowym Wschodzie mają szczególne kwalifikacje natury gospodarczej. Są płytsze od złóż ropnych w Azji, w Europie i Ameryce Północnej. Wskutek tego wymagają o wiele tańszej aparatury wiertniczej, i o wiele mniejszych kosztów pionierskich. A ponadto robotnik arabski jest oczywiście wielokrotnie tańszy naprzykład od swego konkurenta w Stanach A. P. Już te czynniki kalkulacji gospodarczej wystarczyłyby do uzasadnienia atrakcyjności złóż ropy w krajach Środkowego Wschodu. Ale do tych elementów kalkulacji, mieszczących się w tańszej metodzie uzyskiwania surowca i w niższych kosztach robocizny, dochodzi jeszcze jeden czynnik kalkulacyjny, który nie wyczerpuje swego znaczenia w wymowie cyfr. Tym trzecim czynnikiem jest koszt ewentualnego transportu ropy czy benzyny z innych krajów do baz morskich czy lotniczych po obu brzegach Morza Śródziemnego. Nie chodzi tylko o koszt przewozu i strategiczne bezpieczeństwo. Połączenie pomiędzy Morzem Śródziemnem i Morzem Czerwonem jest zmonopolizowane w ręku *Towarzystwa Kanału Suezkiego.* W Suezie pobiera się przeciętnie 10 złotych franków od tony towaru. Ten, kto więc posiada w portach Morza Śródziemnego, materjały pędne doprowadzane rurociągami posiada tem samem produkt wydobywany z najtańszego surowca, przy użyciu najniższego kosztu robocizny i najtańszego, a stosunkowo także najpewniejszego transportu. Od szeregu lat Iran i Irak, a od krótkiego czasu Arabia Saudyjska, a może wkrótce i półwysep Synaj uczestniczą w przetargu kto i jakiemi drogami będzie wydobywał i zbywał ich pokłady ropy.

W 1933 r. dwie wielkie spółki amerykańskie *"Standard Oil Co. of California"* i *"Texas Oil Co."* nabyły w Saud Arabji koncesję naftową pod firmą *"Arabian-American Oil Company"*. Podczas gdy spółki naftowe perskie i irackie mają już niejako tradycyjną pozycję w świecie nafty i posiadają utorowaną drogę rurociągiem do Bejrutu i Haify, to *"Arabian-American Oil Co."* dopiero w pierwszych tygodniach 1946 r. rozpoczęła realizować plan eksploatacji i transportu ropy saudyjskiej. W styczniu 1946 zarejestrowano w Jerozolimie spółkę *"Transarabian Pipe Company"*, której właścicielką jest wspomniana *"Arabian Oil Co."* Nowozałożona transarabska spółka rurociągowa uzyskała od rządu palestyńskiego prawo dotarcia przewodem rur do portu w Haifie, przeprowadzając w ten sposób ropę z arabskiego wybrzeża Zatoki Perskiej. Rurociąg został wyplanowany na skalę poważną, bo ma przepuszczać dziennie 40 tysięcy ton. Nie ujawniono dotychczas czy amerykańska spółka naftowa uzyskała koncesje na zbudowanie własnej rafinerji na trenie wylotu rurociągu, to jest w Palestynie. Natomiast jeszcze we wrześniu 1945 r. podpisali pełnomocnicy *"Standard Oil Co."* i *"Socony Vacuum"* umowę z rządem libańskim na wybudowanie rafinerji w Bejrucie. W Ras Tanura nad Zatoką Perską, po stronie saudyjskiej wybudowali Amerykanie z końcem 1945 r. nową rafinerję pod firmą *"Bahrein Oil Company"*.

Wielostronna i intensywna działalność amerykańska w dziedzinie naftowych wierceń poszukiwawczych, wydobywania ropy, jej transportowania i rafinowania dokonuje się na Środkowym Wschodzie w pewnej konsultacji z brytyjskimi czynnikami gospodarczymi i urzędowymi. Dowodem współdziałania naftowego amerykańsko-brytyjskiego było zawarte jeszcze w czasie trwania wojny, bo w sierpniu 1944, ramowe porozumienie, które doprowadziło do obowiązującej obecnie konwencji z 24 września 1945, noszącej podpisy *Ickesa* i *Shinwella.* Ani w porozumieniach gospodarczych, ani też w konwencjach urzędowych nie występują na Środkowym Wschodzie przedstawiciele Związku Sowieckiego. To znaczy nie występują jawnie. Jest niezwykle wielka ilość dowodów, że Sowiety interesują się złożami ropnymi we wszystkich bez wyjątku krajach Środkowego wschodu i że nie omijają żadnej sposobności, by już istniejącym koncesjom brytyjskim czy amerykańskim stwarzać trudności. Byłoby stratą czasu, gdyby próbować tu wykazywać związki zachodzące pomiędzy szeregiem aktualnych zjawisk politycznych w krajach arabskich, a sowiecką inicjatywą, kierowaną w dużej mierze zagadnieniami nafty. Marszałek Stalin w swem przemówieniu z 9go lutego b. r. wskazał, że potrzeby naftowe Związku Sowieckiego wynoszą obecnie 60 miljonów ton rocznie. "Tylko natenczas — oświadczył Stalin — będzie Rosja mogła czuć się bezpieczna przeciwko jakimkolwiek ewentualnościom". Stalin przewidział w swej mowie uzyskanie tej, bezmała dwukrotnej produkcji naftowej Sowietów w porównaniu do stanu z 1938 r., w ciągu najbliższych trzech piatiletek. Stalin nie wyjawił jakimi sposobami ma być powiększona, i to o sto procent sowiecka produkcja nafty. Czy intensyfikacją wydobycia na terytorjach podległych sowieckiemu władaniu, co zresztą jest mało prawdopodobne, czy nabywaniem koncesyj na wzór brytyjsko-amerykański, czy wreszcie rozszerzeniem władania sowieckiego na tereny bogate w złoża naftowe. Takimi jedynymi terenami w bezpośredniem sąsiedztwie ZSRR są tereny krajów Środkowego Wschodu. W sowieckiej literaturze politycznej poświęca się dużo miejsca sprawom nafty no Środkowym Wschodzie. Dwutygodnik, wychodzący w 1944 r. pod nazwą *"Wojna i klasa pracująca"* zajmował się naftą w krajach arabskich w artykułach speca sowieckiego *A. Manukiana*, który już w owym czasie z tytułu swego ormiańskiego pochodzenia miał, widać, należyty wgląd w sprawy te w krajach, z których odbywa się obecnie exodus Ormian do Rosji. Drugim specjalistą od spraw nafty na Środkowym Wschodzie jest w Sowietach Niemiec *Karl Hoffman.*

W tej chwili skierowuje się główny wysiłek Sowietów ku stworzeniu trudności w punktach naogół jeszcze niezawarowanych w koncesjach amerykańsko- i brytyjsko - arabskich. Punktami tymi są drogi transportu ropy rurociągiem. Przesilenia w Lidze Arabskiej, wysuwanie ze strony Saudji pretensji terytorjalnych do Transjordanji, wysuwanie ze strony Syrji pretensji do portu tureckiego Alexandretta, oczywiście że także i powstanie Kurdów w samem sercu terenów roponośnych, bo w Mossulu i Kirkuku — to zręczne uderzenia sowieckiej dyplomacji naftowej. Ostatniem w czasie, sowieckiem posunięciem, mającem na celu wywołanie trudności w transporcie ropy saudyjskiej rurociągiem *"Transarabian Pipe Company"* (to jest przez Transjordanję do portu Haifa w Palestynie) jest inspirowanie opozycji i prasy egipskiej, by żądały one rurociągu z Saudji do portu Alexandria.

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Mowa Sekretarza Stanu Byrnesa, wypowiedziana przez radjo, po powrocie z faktycznie rozbitej konferencji paryskiej, a także przemówienia senatorów Vandenberga i Connally, wygłoszone w Senacie, niedwuznacznie wskazują na Rosję Sowiecką, na sowieckiego delegata w Paryżu — Mołotowa, jako na przyczynę niepowodzenia narad paryskich, niepowodzenia całkowitego, czego żaden z członków delegacji amerykańskiej nie tai już teraz. Również i brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin, w swem expose, wypowiedzianem w londyńskiej Izbie Gmin, z całą otwartością zwalił winę rozbicia konferencji paryskiej na Mołotowa, na reprezentanta sowieckiej polityki zewnętrznej.

Co więcej, P. Byrnes w swem przemówieniu wyraźnie zagroził, że o ile Rosja Sowiecka, przez swe nieustępliwe stanowisko, dyktowane zamiarami zaborczemi i imperjalistycznemi dążnościami, nie zgodzi się na szybkie zwołanie pełnej konferencji pokojowej, w celu ułożenia warunków pokojowych dla krajów europejskich, walczących po stronie Niemiec, wówczas Stany Zjednoczone, a rzecz prosta także i Wielka Brytanja, zwołają przecież taką konferencję i doprowadzą do podpisania traktatów pokojowych nawet bez udziału Rosji Sowieckiej.

Że w Washingtonie w dużym już stopniu przekonano się, że z Moskwą nie można pertraktować operując tylko argumentami poczucia honoru, sprawiedliwości i dążności do wytworzenia stanu pokoju faktycznego, dowodzą posunięcia amerykańskie, poczynione w ciągu ostatniego tygodnia. Najznamienniejszem jest przeprowadzenie masowej rewizji statków w obrębie amerykańskiego odcinka Dunaju i skonfiskowanie wszystkich w sferze okupacyjnej amerykańskiej znajdujących się statków dunajowych. Jest to pierwsza właściwa i politycznie jasna odpowiedź amerykańska na ujawnioną w Paryżu przez Mołotowa dążność do opanowania Dunaju, jako arterji strategiczno-handlowej przez Rosję Sowiecką. Jest to dowód, że w Washingtonie nareszcie poczyna się operować w sposób, który dyplomacja sowiecka najlepiej rozumie.

Posunięć takich jest przecież więcej. Washington, w odpowiedzi na ujawnione przez Związek Sowiecki życzenie rozpoczęcia pertraktacji w sprawie zaciągnięcia w Stanach Zjednoczonych pożyczki 1 miljardowej, odpowiada teraz, że udzielenie takiej pożyczki zależy od spełnienia przez Moskwę pewnych warunków natury politycznej. Nie bez znaczenia jest również — w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej — przybycie do norweskiego portu Bergen, dywizji okrętów wojennych amerykańskich, awizowanych jako wizyta kurtuazyjna. Taka wizyta kurtuazyjna ma Norwegom przypomnieć, że na Atlantyku północnym, po za silną flotą brytyjską, znajduje się również silna flota amerykańska, jako element politycznego zainteresowania się Stanów Zjednoczonych sytuacją zaistniałą w północno-wschodniej części basenu atlantyckiego. Wizyta ta jest tem więcej znamienna, że amerykańska dywizja morska zawinęła do ważnego portu Norwegji, w czasie kiedy Moskwa atakuje ostro "imperjalizm amerykański", w związku z rokowaniami toczonemi z Islandją o dalszą dzierżawę baz na tej strategicznie ważnej wyspie.

Rosja Sowiecka nie zaniedbuje jednak niczego, aby swoją korzystną, przez błędy i krótkowzroczność anglosaską w Teheranie, Jałcie i t. d. wytworzoną sytuację, w Europie środkowej i wschodniej, utrzymać a nawet wzmocnić. Jednem z posunięć sowieckich, zmierzających do wzmocnienia pozycji sowieckiej jest zapowiedziane, ale zaraz niby cofnięte, przesunięcie większych sił sowieckich poprzez Czechosłowację w kierunku Austrji. Niewątpliwie, ogłoszenie przez sztab sowiecki zamiaru przetrasportowania teraz przez Czechosłowację większych jednostek wojskowych, wiąże się z wyznaczonemi na d. 26 maja r. b. wyborami parlamentarnemi czeskosłowackiemi. Nie jest politycznie ważne to, że transporty militarne sowieckie zostały przesunięte o kilka dni, aby odbywały się po dniu wyborów. Ważnem jest politycznie to, że sztab sowiecki, niewątpliwie z nakazu moskiewskiego Politbiura, przez swą zapowiedź transportów militarnych, przypomniał Czechom i Słowakom, w przeddzień wyborów, że w sąsiednich krajach rozlokowane są wielkie armje sowieckie, które mogą w każdej chwili, bez pytania i bez zgody Hradczyna, rzucić na terytorjum czeskosłowackie większe siły dla . . . przetransportowania ich do Austrji. Zobaczymy, jaki efekt wywrze tego rodzaju sowieckie przypomnienie, przypomnienie bardzo wyraźne i bardzo charakterystyczne, na przebieg i na wynik wyborów czeskosłowackich.

Sprawa irańska w Radzie Bezpieczeństwa UN została nadal utrzymana na porządku obrad tej bezsilnej instytucji. Wprawdzie, rząd irański, działający — jest to przecież niewątpliwe — pod silnym naciskiem posła sowieckiego Sadżikowa, nadesłał w ostatniej chwili informację, że komisja rządowa irańska zwiedziła zachodnie prowincje Azerbajdżanu i nie znalazła tam wojsk sowieckich, ale irański delegat w UN, zawezwany na Bronx do udzielenia wyjaśnień dodatkowych, oświadczył, że nie uważa tej urzędowej informacji swego rządu za dostatecznie jasną, potwierdzając przytem, że nacisk sowiecki na Iran trwa nadal i wyrażając życzenie, aby sprawa irańska nadal pozostawała pod kontrolą Rady Bezpieczeństwa. Tak się też stało; kwestja sowiecko-irańska została nadal w ewidencji Rady Bezpieczeństwa dlatego właśnie, że Rada Bezpieczeństwa nie posiada jasnej ewidencji w tej sprawie. W toku dyskusji Lange znowu wystąpił w swej właściwej roli sowieckiej marjonetki; siląc się na sarkazm, ujawnił w pełni tą niesławną swą rolę.

Na Dalekim Wschodzie wojna o Mandżurję trwa w pełni. Pozostająca na służbie sowieckiej komunistyczna armja chińska jest teraz silnie naciskana przez armje rządu centralnego. Moskwa z tego powodu, zaniepokojona, krzyczy, że to Stany Zjednoczone militarnie popierają chiński rząd centralny, że w Mandżurji przejawia się imperjalizm amerykański, że przy pomocy Stanów Zjednoczonych dusi się "demokrację chińską".

ZBIERZEMY MILJON DOLARÓW NA KONGRES POLONJI

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

GENERAŁ BÓR W NOWYM JORKU

Po uroczystościach w Chicago, które wrażeniem swym i napięciem entuzjazmu przeszły wszystko, co Polonja przeżyła za pamięci naszego pokolenia, po innych miastach Zachodu, po Detroit, które raz jeszcze dowiodło, że jego Polonja robotnicza jest prawdziwą ostoją demokracji i polskości — przybył generał Bór-Komorowski do Nowego Jorku na tygodniowy pobyt, dziś dobiegający końca. Obawiać się było można, że Polonja nowojorska, bardziej niż w Chicago rozproszona, nie zdoła tak się zgromadzić aby okazać swą prawdziwą siłę. W politycznej ważności nowojorskiego życia, przy tylu zajęciach wybitnych Amerykanów-nowojorczan, łatwo mógł pobyt generała Bora stać się jednym z wielu, nie ważniejszem od wielu wydarzeniem. Dziś powiedzieć już można, że i amerykański Nowy Jork i Polonja zrobiły wszystko aby generał Bór-Komorowski był przyjęty jako bohater powszechnej wolności i jako prawdziwy przedstawiciel Polski, wódz prawdziwego polskiego wojska. Na parę dni tego święta — zapomniane zostały i zlekceważne haniebne kukły warszawskiego rządu i niesławne uznanie go przez Stany Zjednoczone. Jeśli o panu Langem słyszało się to w formie mniej lub więcej pogodnych żartów, mówionych przy obiedzie.

Ambasador Ciechanowski i konsul-minister Strakacz, przyjmowani byli nietylko przez Polonję, ale i przez władze amerykańskie jako nie formalne ale istotne władze polskie. Na drodze przejazdu generała Bora do City Hall otwierały się raz po raz okna i wznosiły się okrzyki na cześć Polski prawdziwej i prawdziwie niepodległej. Generał Bór mówił bez ogródek, po żołniersku całą prawdę o powstaniu warszawskiem, które upadło tylko dlatego, że nas zdradziła Moskwa; całą prawdę o sytuacji w Polsce. Mówił to zaś zarówno do dziennikarzy jak publicznie w City Hall i na wielkiej manifestacji w Zbrojowni. Jak tego spodziewaliśmy się — złożył Stanom Zjednoczonym rachunek wkładu Polski do wojny o powszechną wolność i zażądał tej wolności dla Polski. W przyjęciu Generała przez Nowy Jork amerykański odczuć było można poza względami kurtuazji dla Polonji prawdziwą potrzebę sumienia; jemu to zadośćuczyniono podejmując Generała jak suwerena w nowojorskim ratuszu. Głosem tego sumienia mocnym, donośnym i ważnym była też mowa gubernatora Deweya, przetelefonowana z Albany na niedzielny meeting w Zbrojowni. Polonja dała z siebie naprawdę wszystko: prezes Nurkiewicz, prezes Wazeter, prezes Smoleński i władze organizacji polskich w przygotowaniu całego obchodu; masy znów gromadzą się jak nigdy licznie, wyrażając swoje uczucia z prawdziwym porywem serca, z entuzjazmem, który najbardziej zakamieniałych sceptyków poruszył, a zabitych pesymistów natchnął nadzieją. Pan Nurkiewicz powiedział w Zbrojowni mowę świetną, której każde zdanie przerywane było burzą oklasków, prezes Wazeter mówił z ogniem, z poczuciem politycznem pierwszej klasy, pani Rozmarkowa mogłaby niejednego polityka nauczyć jak się mówi politycznie. Huraganem braw witano ambasadora Ciechanowskiego, dziękując mu też hucznie za mowę mocną i w najlepszem tego słowa znaczeniu nie dyplomatyczną. Datki na Fundusz Miljonowy od paru dolarów do tysiąca, których wiele się uzbierało w czasie obchodu w Zbrojowni—wymownie powiedziały, że nietylko o słomiany ogień tu chodzi.

Uchodźtwo czy raczej nowa emigracja — stawiła się jak wojsko na specjalnem dla Generała przyjęciu. Od Jana Kucharzewskiego, Oskara Haleckiego i Artura Rubinsteina do paroletnich dzieci nikogo nie brakło na tem zebraniu. Mówili Konsul Strakacz, min. Korsak, Jan Kucharzewski, bardzo wzruszająco, z akcentem głębokiej wiary w przyszłość.

Generał Bór zjednał sobie wszystkich odwagą mówienia prawdy, bądź życzliwością i skromnością. Witaliśmy go jako symbol Warszawy, symbol wojska polskiego, a także jako wspaniałego obywatela - żołnierza, który każde zadanie, jakie na siebie bierze wykonuje jak umie najlepiej.

Zbierzemy miljon dolarów na Kongres Polonji

"ZBIERZEMY MILJON DOLARÓW"

Hasło "zbierzemy miljon dolarów na Kongres Polonji" realizuje się coraz wyraźniej i każe się spodziewać pięknego wyniku zbiórki. Zdaje się że entuzjaści, którzy jak prezes Nurkiewicz przepowiadali wielki sukces — będą mieć rację, a pesymiści raz jeszcze przekonają się, że tylko zapał tworzy cudy. Z różnych stron dochodzą nas wieści, że preliminowane sumy są pokrywane z naddatkami, raz po raz ktoś kto raz już złożył datek widząc, że inni go prześcigają dokłada coś jeszcze, sumy tysiączne od jednostek raz po raz powtarzają się w doniesieniach. Polonja naprawdę jest tak wspaniała w tym porywie ofiarności, w tej potrzebie dania wszystkiego by pomóc Polsce wydobyć się z niewoli. Wizyta gen. Bora wszędzie gdzie się on pojawi wzmaga tą ofiarność. Polonja tak gorąca ale i praktyczna rozumie dobrze, że słowami samemi niczego się nie wywalczy. Idzie wciąż piękna, chwalebna konkurencja skupisk polskich, organizacji i jednostek. Kto da więcej! Wschód czy zachód? Kto da najwięcej, który z hojnych Polaków okaże największy gest? Czytelnicy gazet polskich rzucają się na rubrykę "funduszu miljonowego" jak na biuletyn wojenny. Zbiórka będzie trwać jeszcze cały czerwiec. Każdy kto jeszcze nic nie złożył niech się nie ociąga, kto już dał swą ofiarę niech pomyśli czy w czerwcu nie powinien jej podwoić. A możeby tak pocichu albo nawet głośno powiedzieć sobie "ZBIERZEMY WIĘCEJ NIŻ MILJON DOLARÓW".

II ZJAZD HOMILETYCZNY DUCHOWIEŃSTWA POLSKIEGO W PITTSBURGHU

W dn. 14, 15 i 16 maja odbył się w Pittsburghu. II Zjazd Homiletyczny kapłanów katolickich, który zgromadził wielką liczbę księży polskich ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych. Przed rozpoczęciem Zjazdu uroczyste nabożeństwo w kościele Św. Cyprjana odprawił ks. prałat Szumal, kazanie podniosłe i patrjotyczne wygłosił J. E. Ks. biskup Bona. W czasie trzydniowych na wysokim, poziomie prowadzonych obrad wygłoszono szereg doskonale przygotowanych referatów. Ze wszystkich referatów jak i z dyskusji przebijała nietylko troska o pogłębienie pracy duszpasterskiej, o obronę wiary katolickiej przed atakami bezbożnictwa ale również troska o zachowanie wśród Polonji mowy przodków, kultury polskiej i o los umęczonej Polski. Honorowym przewodniczącym Zjazdu IIgo był J. E. ks. biskup Bona, faktycznym zaś ks. prałat Edward Szumal, wice-przewodniczącymi ks. Marcin Lipiński i ks. Łosieniecki, sekretarzował ks. Felczak. W wyniku Zjazdu powołano do życia Stow. Homiletyczne im. Piotra Skargi pod protektoratem biskupów polskich ks. biskupa Bony, ks. biskupa Noa i ks. biskupa Woźnickiego. Prezesem został ks. W. Stencelewski.

HISTORJA POLONJI W DETROIT

Muzeum Polonji w Chicago, rozwijając swą naprawdę pionierską pracę nad badaniem historji Polonji, wydało właśnie nowy tomik swej bibljoteki: pracę Siostry M. Remigji Napolskiej "The Polish Emmigrant in Detroit to 1914". Jest to tom 110 stronicowy, zawierający mapę rozsiedlenia Polonji w Detroit; jest to praca źródłowa, znakomicie i wszechstronnie opracowana, przytem pierwsza na ten temat. Przynosi ona prawdziwą chlubę autorce i za jej wydanie należą się Muzeum Polonji wyrazy wdzięczności. Jako następny tom Annals of the Polish Roman Catholic Union, Archives and Museum, wyjdzie w roku przyszłym monografja Polonji w South Bend, Indiana, dzieło ks. profesora Józefa Swastka.

POLAK AMERYKANIN MIANOWANY NA WYSOKIE STANOWISKO

W dn. 7 maja Gubernator Thomas E. Dewey mianował Kazimierza A. Ksieniewicza - Kenswick dyrektorem wykonawczym Division of Veterans' Affairs na stan New York, z pensją $8,000 rocznie. Kazimierz Ksieniewicz jest dobrze znany w kołach Polonji nowojorskiej i jest członkiem wielu stowarzyszeń polskich jak Tow. St. Moniuszk, Tow. Dobroczynności i Zjednoczenia Polsko Narodowego w Brooklynie; jest również członkiem Polsko Amerykańskiego Klubu Republikańskiego. Zajmował on już wysokie stanowiska i w 1942 wstąpił do wojska jako prosty żołnierz i awansował do rangi kapitana. Był w kontrwywiadzie w Anglji, Francji, Belgji i w Niemczech.

ODZNACZENIE PPL. HENRYKA I. SZYMAŃSKIEGO

Po przeszło 44-miesięcznej służbie wojskowej, której część spędził on na Środkowym Wschodzie i na terenie europejskim, powrócił do Chicago, dzielny żołnierz amerykański polskiego pochodzenia — podpułkownik Henryk I. Szymański.

Za dzielną i pełną orjentacji służbę w repatrjacji Polaków podczas działań wojennych, podpułkownik Szymański został odznaczony medalem Bronzowej Gwiazdy.

OPINJE I ZDARZENIA

PAN LANGE NA PIERWSZYM MIEJSCU W DZIALE HUMORU

Sławny już ze swych wystąpień w Bronxie, a jakże zarazem niesławny pan Lange, jest obecnie ulubionym przedmiotem żartów i docinków całej prasy amerykańskiej; nazwisko jego przenika do wszystkich rubryk, wszędzie jako temat do kpin i uszczypliwości.

Oto co pisze "Daily Mirror" dn. 7 maja w rubryce "Washington Scene", na temat wrażeń p. Ovety Culp, Hobby, byłego pułkownika WAC, która dla pisma swego męża wydawcy z Houston, Texas, pisze reportaże z Hunter College. Wydaje się ona specjalnie interesować p. Lange:

"Mr. Lange is not what you would call exactly free and untrammeled because it seems his country is under the dominance of a larger nation the name of which escapes me for the moment. He has played ball with this bigger power so much that he may earn a try-out with the Mexican League. Mrs. Hobby heard Mr. Lange ditto-ing so much that she aparently could contain herself no longer. In a sibilan whisper, reeking with exasperation, she declared: "I wish he'd disagree with Gromyko just once".

A oto rubryka życia towarzyskiego t. zw. "Cholly Knickerbocker" w dn. 8 maja "New York Journal-American" opisująca wielkie przyjęcie u Elsy Maxwell: "...The Polish Ambassador and UN delegate Oscar Lange nervously eyeing the door — probably for fear Master Gromyko might reproach him for attending such a capitalistic function".

POEZJE ROSTWOROWSKIEGO

Jan Rostworowski, znany naszym czytelnikom z szeregu wierszy drukowanych w "Tygodniku", wydał w Edynburgu dwa zbiory poezji: "Trzynaście godzin nocy" i "Dni ostatnie i noce pierwsze".

FRAGMENT DRAMATYCZNY LECHONIA GRANY PRZEZ JUNAKÓW W PALESTYNIE



Fragment dramatyczny Jana Lechonia "Godzina przestrogi", którego akcja dzieje się w przededniu bitwy pod Monte Cassino—odegrany został przez junaków polskich w Sarafaud. W środku grupy profesor polonista ppor. Stanisław Ciekliński, obok niego junacy Alfred Mikusenda, Zbigniew Korbel, Czesław Łukomski, Olgierd Jodłowski, Wacław Kaniewski, Aleksander Paliwoda, Stanisław Sopala, Józef Walczak.

"PODSTAWY KULTURY POLSKIEJ"

Pod takim tytułem wydał w Londynie znany filolog i krytyk, Ignacy Wieniewski, stustronicową, popularną rozprawę, w której ustala zasadnicze cechy kultury polskiej, opartej na trzech głównych elementach: słowiańskości, chrześcijaństwie i wpływie latynizmu.

POEMAT O POLSCE

Gabrjela Mistral, świetna poetka chilijska, tegoroczna laureatka w dziale literatury — napisała pod wrażeniem walki podziemnej Polski i czynów wojennych Drugiego Korpusu poemat p. t. "Polonia".

$50 miesięcznie w ciągu roku pozwoliłoby starszej lekarce z Warszawy, dotkniętej ciężko przez wojnę, powrócić do zdrowia i odzyskać możność pracy dla Polski. Referencji udzielić może inżynier Tadeusz Frankowski, Zuerich, Bolleystrasse 15, Switzerland.